

Sprzedac Dusze Diablu

Dawid Brykalski



Steve Vai
Richie Kotzen
Billy Sheehan
Ian Gillan
Yngwie J. Malmsteen
Gary Moore
James LaBrie
Daniel Lanois
Steven Wilson
Joe Bonamassa
Steve Lukather
i inni

Sprzedac Dusze Diablu

Dawid Brykalski

Steve Vai
Derek Sherinian
Richie Kotzen
Paul Gilbert
Jordan Rudess
Manowar
Billy Sheehan
Ian Gillan
Mike Portnoy
Queensrÿche
Yngwie J. Malmsteen
Mariusz Duda
Gary Moore
James LaBrie
Daniel Lanois
Steven Wilson
Ray Wilson
Joe Bonamassa
Steve Lukather

[Kup książkę](#)

Dawid Brykalski

Sprzedać duszę diabłu

Kagra 2011

[Kup książkę](#)

Projekt okładki i opracowanie graficzne - Paweł Kasprzyszak

Zdjęcie na 1 stronie okładki – Marcin Nowak
(Daniel Lanois podczas koncertu w łódzkiej Wytwórni, 2009 r.)

Zdjęcia: Karolina Karbownik, Marcin Nowak,
Tomasz Przybył, Magdalena Zaleska

Redakcja - Magdalena Zaleska

© Copyright by Dawid Brykalski, 2011

Wszelkie prawa zastrzeżone. Wykorzystanie tekstu, zdjęć w całości lub w części bez zgody Wydawnictwa i Autora stanowi naruszenie praw autorskich i będzie karane. Dotyczy to także kopiowania, tłumaczenia i przetwarzania przy pomocy systemów elektronicznych.

ISBN 978-83-87598-24-2

Wydawca

KAGRA

Adres do korespondencji:

Kagra, P.O. Box 6

60-993 Poznań 64

e-mail: kagramusicpress@hotmail.pl

www.kagra.com.pl

[Kup książkę](#)

*I got to keep movin'
Blues fallin' down like hail
And the days keeps on worryin' me
There's a hellhound on my trail
Hellhound on my trail*

Robert Johnson "Hellhound On My Trail"

Wstęp

Jesteśmy sumą ludzi, których spotkaliśmy w życiu. Często zapominamy o tej prostej, niepodważalnej prawdzie. Warto spotykać ludzi, którzy mają coś ciekawego do powiedzenia, warto rozmawiać z takimi, od których można się czegoś nauczyć, czegoś interesującego dowiedzieć. Warto też spróbować poznać ludzi, którzy swoją twórczością potrafią poruszyć miliony fanów (a ci, jak wiemy, nie mogą się mylić).

Żyjemy w zabawnych czasach. Dziennikarze muzyczni uznają za płytę roku album producenta(!) - Timbalanda. Członkowie irlandzkiego zespołu, kiedyś pełni ideałów, dziś opowiadają w wywiadach, że nie grają dla pieniędzy, bo tych mają aż nadto, po czym cynicznie i bezwzględnie „wymuszają” na swoich fanach zakup drogich biletów na swoje koncerty.

Za wybitną artystkę tudzież wręcz piosenkarkę uchodzi celebrytka o wyglądzie przechodzonej gwiazdy porno, potrafiąca sądzić się o to, czy miała majtki, czy też nie. W takim zamieszaniu coraz trudniej wybrać to, co wartościowe i tych, którzy coś cennego do kultury i muzyki wnieśli, wnoszą i wnieść będą.

Dzięki współpracy z redakcjami czasopism muzycznych udało mi się podczas kilku ostatnich lat spotkać parę osób, które swoją wiedzą, umiejętnościami i talentem potrafią zaimponować. Reprezentują różne style i gatunki muzyczne. Mają swoją prywatną filozofię i sposób na osiągnięcie artystycznego sukcesu. Mam nadzieję, że rozmowy, jakie z nimi przeprowadziłem, skłonią kogoś do zapoznania się z ich twórczością.

A jeśli ktoś już zna któregoś (lub wszystkich) z wykonawców i jednak sięgnął po tę książkę, ufam, że znajdzie w tych wywiadach również coś interesującego i inspirującego.

Dawid Brykański

Ze Stevem Vaiem udało mi się porozmawiać tuż przed warszawskim koncertem G3. Wirtuoz gitary okazał się bardzo otwartym i elokwentnym rozmówcą. Choć tego dnia udzielił już z tuzin wywiadów, nadal był pełen dobrego humoru i energii. Mimo ponagleń menadżera sam Vai chętnie przeciągnął tę arcyciekawą rozmowę. Z zakulisowych rzeczy zabawnych: okazało się, że cała ekipa cateringowa jest zobowiązana zbierać kapsle od butelek pewnego napoju na literę „C”. W ramach letniej promocji zebrane kapsle można wymienić na m.in. dmuchane fotele. Ponoć Vai zażyczył ich sobie aż pięć.

Dawid Brykalski:

W twoich biografiach często wspomina się, że twoim nauczycielem był Joe Satriani. Nie ma niestety zbyt wielu informacji na ten temat. Zechcesz przybliżyć szczegóły tamtej współpracy?

Steve Vai:

Interesowałem się muzyką długo przed tym, zanim zainteresowałem się grą na gitarze. Choć to właśnie gitara od zawsze była dla mnie fascynującym instrumentem... To było około 1973 roku, miałem 13 lat, a mój pierwszy zespół nazywał się Raiyge...

Czy grałeś wyłącznie na gitarze?

Wcześniej grałem trochę na keyboardzie, powiedzmy na czymś, co przypominało keyboard (śmiech), grałem też trochę na akordeonie oraz na tubie...

Powróćmy jednak do Joego.

Chcesz wiedzieć, jak to było? Chciałem się nauczyć grać na gitarze, ale po prostu miałem trochę stracha. To był dla mnie bardzo, bardzo pociągający i odjazdowy instrument. Jednak nigdy nie sądziłem, że będę w tym dobry. Mój przyjaciel – John Sergio – wprowadził mnie w świat muzyki progresywnej lat siedemdziesiątych. I on miał gitarę! I nawet potrafił coś na niej zagrać! Wiesz, takie tam – „ta da da da da” (śmiech). „O rany! – powiedziałem. – Umiesz to zagrać! Jesteś najlepszym gitarzystą w mieście!”

A on odparł: „Jeśli uważasz, że ja jestem dobry, powinienes poznać mojego nauczyciela - Joego Satrianiego”. Ja na to, z kompletnym niedowierzaniem: „Serio? A możesz mi dać jego numer telefonu?”.

Kupiłem więc od przyjaciela gitarę za 5 dolarów i poszedłem do Joego.

Potem chodziłem już do niego systematycznie na kolejne lekcje.

Joe zawsze był wielki, nawet wtedy, kiedy byliśmy dziećmi. To ważne mieć szacunek do nauczyciela. A Joe z łatwością go zdobył. Był bardzo uzdolniony i naprawdę dobry w tym, co robił. Pokazał mi, jak grać to, co chcę zagrać, opowiadał wszystko o gitarach, o muzyce oraz o tym, jak to jest być muzykiem. Prezentował to na swoim przykładzie.

Historia chyba się w jakiś sposób domknęła. Po latach gracie na jednej scenie. Mistrz i uczeń, choć granice się zatartyły. Fani mogą oglądać, cieszyć się i słuchać G3. Kto był pomysłodawcą?

Oryginalny pomysł na projekt G3 wyszedł od Joego. To jest jego trasa, prawa do intelektualnej własności również należą do niego.

Nawet jeśli ja nagrywam więcej niż on, gram podczas wspólnych koncertów na scenie dłużej niż on lub – cokolwiek to znaczy – ja jestem bardziej sławny, a on mniej, to nie stanowi żadnego problemu. Zawsze patrzę na niego z wielkim podziwem. On jest wspaniałym muzykiem. Źle powiedziałem – Muzykiem. Takim Muzykiem muzyków, rozumiesz? Wciąż jest niezwykle wyczulony na dźwięki. Skupia całą swą energię na gitarze i, co ważniejsze, jest bezustannym innowatorem. Jest prawdziwym artystą gitary. I nie ukrywam, że Joe wciąż i wciąż mnie inspiruje.

Jest zatem Joe szefem przedsięwzięcia, czy może podejmujecie decyzje bardziej demokratycznie?

On po prostu któregoś dnia zadzwonił i spytał, czy chciałbym wziąć w tym udział. Joe podjął taką decyzję, by mnie w to wciągnąć.

Byłem na wszystkich trasach G3, z wyjątkiem jednej, w której rzeczywiście nie mogłem wziąć udziału... Oczywiście są kwestie, które dyskutujemy.

Co jest dobre, a co złe dla G3, jakie utwory wykonamy wspólnie w ostatniej części koncertu, kogo zaprosić... Rozmawiamy o tym, ale najczęściej ostateczny głos należy do Joego. Odpowiada mi to, ponieważ bardzo często nie znajduję rozsądnego argumentu, by podważyć jego decyzje.

Dlaczego na trasie, podczas której odwiedzacie Polskę, „zgubiliście” Yngwiego Malmsteena?

Kiedy ruszamy w kolejną trasę z G3, zawsze pojawiają się problemy czysto logistyczne, organizacyjne. Terminy, zobowiązania, plany i takie tam...

Niestety, Yngwie miał coś dużo wcześniej ustalone i zaplanowane. Szkoda. Bardzo lubię z nim grać na jednej scenie. Ale jest i wielki plus tej sytuacji. W Europie towarzyszy nam Robert Fripp.

Właśnie miałem spytać... Jesteśmy jeszcze przed koncertem.
Jak Robert Fripp odnajduje się w projekcie G3?

Ha! Jego wkład jest absolutnie unikatowy! Nieporównywalny do żadnego innego uczestnika G3!

To jest człowiek o całkowicie renesansowym podejściu do muzyki. On jest odkrywcą, on jest genialny. Cała muzyka rockowa byłaby bez niego zupełnie inna, o wiele uboższa. Wkład King Crimson w historię rocka jest niemierzalny. Robert zawsze coś miesza, bezustannie eksperymentuje. To, co on robi teraz, to tzw. soundscapes. Bardzo ciekawe. To pewien proces, w którym Robert używa swego sprzętu, by zbudować te wszystkie ścieżki dźwięku. I wszystko to robi przy pomocy gitary.

Osoby, które przychodzą na koncert i czytały bądź słuchały płyty i stąd wiedzą, że grał z nami Malmsteen, mogą być nieco zszokowane. Bo właśnie tak inne jest to, co prezentuje Robert Fripp. Ale jeśli rozumiesz jego muzykę, rozumiesz historię rocka. Nabierasz koniecznego respektu. A jeśli tak się dzieje, słuchasz muzyki jako człowiek bardziej otwarty. To wszystko daje w efekcie więcej radości, przyjemności i satysfakcji z tego, co przeżywasz w trakcie koncertu.

Co się dzieje z twoim kolejnym albumem solowym?

Jest już gotowy! Miał być wydany we wrześniu, ale zdecydowałem się na luty 2005. Musi nadejść właściwy czas...

Każda twoja płyta to zestaw utworów inspirowanych religią, duchowością, filozofią, prywatnymi przeżyciami.
Pełno tu zawsze hard rocka, jazzu, improwizacji, przestrzeni...
Możemy liczyć, że tak będzie i tym razem?

W jakimś ogólnym sensie nowy album nie będzie się różnił od poprzednich. To pewnego rodzaju formuła, założenie. Natomiast każdy pojedynczy utwór jest odmienny od kolejnego. Postarałem się, by całość jednak była spójna, miała ręce i nogi.

Bóg, Miłość. Uwielbienie Boga. Pragnienie zjednania się z Nim.
Zawsze poruszasz te tematy...

Taaaaaak... Teraz będzie takich utworów jeszcze więcej. Obiecuję.
Widzisz, wszyscy mamy jakieś predyspozycje, może przeznaczenie.
Każdy z nas może być kreatywny i twórczy. Wszyscy tak mamy...

Nie da się ukryć, że Steve Vai jest bardzo kreatywny...

To nie do końca tak. Ja tylko poświęcam dużo czasu na to, by być twórczym... Staram się, by moje pomysły się urzeczywistniały. To moja praca.

Nigdy nie usłyszałeś – „Mój Boże, Steve!
Ty już chyba jesteś pracoholikiem!”?

(śmiech) Nie, nie, absolutnie. Nigdy mnie to nie spotkało. Z pewnością nie jestem pracoholikiem. Znam takich ludzi. Pracują ciężiej i więcej niż ja. Ja cieszę się życiem, uwielbiam mieć wolne, lubię takie błahostki jak plaża, kino... Kocham moją rodzinę.

Lubię to, co robię, ale daleko mi do pracoholizmu. Jakoś tak jesteśmy skonstruowani, by być twórczy. I jeśli sięgam do tej kreatywnej przestrzeni, jaka jest we mnie, to odnajduję rzeczy dla siebie najważniejsze. Więc są tacy, co piszą muzykę o szybkich samochodach, super seksie, środowisku naturalnym albo o oświeceniu. Sądzę, że każdy pisze o tym, co jest dla niego tak naprawdę ważne.

Czy ty sam w jakiś szczególny sposób zagłębiałeś się w duchowość, religijność?

Był taki okres w moim życiu... Byłem bardzo zaawansowanym... poszukiwaczem. Poszukiwaczem duchowej prawdy. W rezultacie dowiedziałem się sporo o wielu rozmaitych systemach wiary. I zrozumiałem, oczywiście na własne potrzeby, że religia to coś, co spaja ludzi, silnie przemawia do danego społeczeństwa. Ludzie mogą dzięki temu, tu na Ziemi, odnaleźć jakiś sens. To bardzo istotne. Ale trzeba pamiętać, że pewne podstawy, takie najprostsze prawdy, są takie same dla każdej religii. I one są tym, czego poszukuję. Nie ciekawią mnie zbytnio ceremonie, rytuały, dni święte i te wszystkie korowody... Jeśli to pomaga komukolwiek pamiętać o Bogu - to świetnie! Ale moje aspiracje są nieco odmienne. Jestem poszukiwaczem prawdy. Bardziej niż cegokolwiek innego szukam w moim życiu duchowej równowagi. Traktuję to poważnie. Znasz przecież moje teksty, słuchając ich słuchasz mnie. Słuchasz moich najgłębszych pasji i pragnień.

Według mnie najpełniej oddałeś wszystko to, o czym teraz rozmawiamy, na albumie „Sex & Religion” ...

Dzięki... Prawda też jest taka, że z jednej strony mam te wszystkie techniczne możliwości i wiedzę o muzyce, a z drugiej moje emocje. Mój umysł w jakiś sposób łączy to w całość... I tak właśnie powstało „Sex & Religion”, „Passion and Warfare” oraz inne płyty.

Ale nowa płyta to po prostu niepoohamowany rozwój. Właśnie w tę stronę. To w sumie jest jedna opowieść o muzyku i jego poszukiwaniach. Poszukiwaniach tego, co jest prawdziwe i realne. I również o tych wszystkich demonach, z którymi stanął twarzą w twarz, albo o diabolicznych grymasach, które malują się na jego twarzy, gdy gra. Jednak bez obaw (śmiech), będzie tam też trochę niezłego gitarowego grania (śmiech).

Gdybym cię poprosił o podsumowanie w najprostszy możliwy sposób, czym jest dla ciebie gra na gitarze? Pracą... Powołaniem... Pasją... Stanem ducha i umysłu... Poszukiwaniem?

To wcale nie takie proste... To się zmienia... To są rzeczy, o których wspominałeś, ale też i inne. I są różne. Przeważają w różnych momentach... Ale najważniejsza i najszczerza odpowiedź to – WYZWOLENIE.

Możesz, proszę, rozwinąć ten temat...

Kiedy stoję na scenie i mam świadomość, że pracuję całe życie nad tym, co chcę usłyszeć, tracę całą swoją wewnętrzną obronę, staram się dotrzeć do takiego momentu... Każdej pojedynczej chwili... Rozumiesz, co mam na myśli, mówiąc „każda chwila”?

Sądzę, że tak...

Skupiam się zatem na każdej chwili i wyrażam swoje uczucia poprzez instrument. Wtedy przeżywam całkowite wyzwolenie. To jest jak mała euforia. Kiedy patrzę na siebie, jak gram i obserwuję te wszystkie dzikie grymasy na mojej twarzy... Ale to jest właśnie moja możliwość uwolnienia, spełnienia... Oczywiście lubię to robić na różne sposoby. Fakt, czy to się podoba, czy nie, to problem, który tkwi w sposobie patrzenia, w oku obserwatora. Ale czasem ktoś mi mówi, że to jest dopiero prawdziwy odjazd.

Jesteś drugi raz w Polsce. Twój koncertowy album „Alive In Ultra World” otwiera utwór „Giant Ball Of Gold”. Czy dziś skomponowałbyś dla Polski coś odmiennego?

Jest tak, jak było. Nic bym nie zmieniał. Chciałbym tylko jeszcze odwiedzić te miejsca, co poprzednio. Na przykład warszawską Starówkę. Nie wiem, czy zdajecie sobie sprawę, w jak pięknym kraju żyjecie. Podróż tutaj i przez Polskę jest zawsze ciekawa. Góry, wszędzie zieleni... Wasze wsie są nieprawdopodobnie piękne. Budynki i architektura w miastach są pierwszorzędne.

Macie niezwykle czyste ulice, ludzie wyglądają na szczęśliwych i zadowolonych... I nie wyglądają na biednych.

Aż tak dobrze to nie jest...

Nie zgadzam się. Może i chcecie być bogatsi niż jesteście teraz, ale to naturalne. Byłem w takich miastach, gdzie ludzie nie mają już kompletnie nic. W Warszawie jest inaczej. Tu jest – według mnie – bardzo czysto, porządknie i schludnie. Od razu widać, że żyje tu zdrowe, dynamiczne społeczeństwo. Uwierz mi, tak to wygląda. Jeśli jakieś miasto staje się zbyt zagęszczone lub przybywa do niego zbyt wielu farmerów, kultura natychmiast upada i miasto od razu staje się brudne i zaniedbane. Nie do końca rozumiem, dlaczego tak niewielu ludzi przylatuje do Polski na wakacje. Wiesz, co mam na myśli? Gdyby tylko wiedzieli, jaki jest wasz kraj, z pewnością chcieliby tu spędzić trochę czasu.

Rozmawiałem z amerykańską pisarką science fiction Pat Cadigan. Ku mojemu zdumieniu zaczęła swoją wypowiedź od słów: „Przepraszam za George’a Busha”. Również wielu muzyków rockowych wypowiada się za bądź przeciw jego polityce. Punktem zapalnym jest wojna w Iraku. Dlaczego nigdy nie poruszasz takich problemów?

Jeśli wypowiadam się na jakiś temat, to staram się, chcę być pewien, że poznałem wszystkie dostępne fakty. Przecież i tak cokolwiek mówię jest tylko moją opinią... Jeśli natomiast mamy do czynienia z czymś takim jak wojna, moje refleksje są następujące: zawsze jakaś była, zawsze jakaś aktualnie trwa i w przyszłości zawsze będzie jakaś wojna. Tak jest na całej naszej planecie. Ponieważ wojna to jedna z rzeczy, która jest częścią naszego życia. Oczywiście nie jedyna, ale to jakaś podstawowa cecha – być w stanie wojny. W jakimkolwiek okresie naszej historii rozgrywało się od czterdziestu do pięćdziesięciu wojen.

Ponieważ jestem Amerykaninem mój głos, z powodu całej tej sytuacji, podlega surowszej ocenie.

Gdybym jednak zapragnął krytykować Busha, chciałbym wcześniej poznać wszystkie fakty dotyczące tej wojny. Chciałbym wiedzieć, dlaczego tam walczyliśmy, poznać prawdziwe powody. Chciałbym też wiedzieć, dlaczego nas atakują. Dociekałbym również skutków, jakie to wszystko przyniesie. Mogę długo szukać, ale i tak nie znajdę odpowiedzi na te pytania. Więc nie mogę jednoznacznie odpowiedzieć, czy wojna w Iraku jest dobra, czy zła.

I tylko bardzo mnie wkurza, jak wielu ludzi sądzi, że ma narzędzia i możliwości, by poznać prawdę. Jeszcze czują się zobligowani do tego, by ją wygłaszać. Myślę sobie tak, gdybym to ja był prezydentem, znał wszystkie za i przeciw...

Twoi koledzy po fachu robią z tego prawdziwą manifestację.
Ale zależy mi również na twoim prywatnym zdaniu.

Hmmmm... OK... Nie mogę nikogo krytykować. Moje odczucia, coś, w co chciałbym wierzyć, są takie, że ludzie w wielu krajach zachowują się jak lunacy! Postępują tak, jakby wręcz chcieli, by ktoś przyszedł i ich podbił. A potem jeszcze wskazał, jak mają żyć. Byliby wtedy bardzo szczęśliwi! I jeszcze akty terroryzmu... To już jest brutalne oblicze człowieczeństwa. Akcje wymierzone w człowieczeństwo. Po prostu akty zdesperowanych i oszalałych ludzi. Co mnie w tym dodatkowo wkurza to fakt, że oni podpierają i zaślaniają się religią. Bardzo mnie to irytuje! Ale ich najwyraźniej nie.

A jaka według ciebie jest rola USA w tym wszystkim?

Moja opinia o USA, moja opinia to zbyt wiele powiedziane – może raczej moje pojmowanie tych spraw, bo przecież zawsze mogę się mylić... Może jednak trzeba zdławić tych lunatycznych przywódców na świecie?

Może właśnie potrzeba wojny, by świat trochę przybliżył się do powszechnego pokoju? Absolutnie nie chcę, byśmy walczyli z kimkolwiek i jeśli ktoś mi powie - „mylisz się”, odpowiem – „OK, mam prawo się mylić”.

W tej jednak sytuacji... uważam, że Irak powinien trochę się hamować. Bo gdyby ich zaatakowała na przykład Rosja, sądzię że Irak zostałby zrównany z ziemią. Rosjanie zrobiliby tam taki duży parking... Bush jest tylko administratorem. Jeśli dobrze go rozumiem, jest bardziej ludzki, ale terroryzm to poważne zagrożenie i trzeba go bezwzględnie zlikwidować. Zagroza nam wszystkim. Więc w Iraku historia się powtarza, poleciliśmy tam, tak jak wcześniej trzeba było polecieć do Niemiec czy Japonii...

Nie jestem historykiem ani politykiem. Mnie tylko dziwi, że ludzie myślą tak, jakby znali wszystkie fakty. Ale oni najczęściej znają tylko te przedstawiane w CNN! Dlatego jestem zdumiony, że ludzie, muzycy urządzają jakieś manifestacje, jakieś szopki: „No more war!”, „Bush sucks!”, „I’m sorry for the Bush!”. Skąd oni mogą wiedzieć, dlaczego on robi to, co robi? Nie jestem za Bushem ani przeciw niemu. Ja tylko wiem, że to z pewnością nie była dla niego łatwa decyzja. Im mniej wiesz, tym mniej powinienes komentować.

Fragmenty wywiadu ukazały się w magazynie „Teraz Rock”.

Klawiszowiec to ma klawie życie - chciałoby się powiedzieć. W przypadku Dereka Sheriniana jest to całkowita prawda. Niedawno się ożenił, właśnie wydał kolejną – wyborną – solową płytę. W swoim artystycznym CV ma takich tuzów jak: Dream Theater, Kiss, Platypus, Alice Cooper, Planet X, Yngwie J. Malmsteen, Billy Idol, Black Country Communion. Jest świetnym, docenianym muzykiem, dobrze mu się wiedzie i oby tak dalej.

Dawid Brykalski:

Kolejna dobra płyta...

Derek Sherinian:

Dziękuję, cieszę się, że ci się podoba!

Tak, bardzo dobrze się jej słucha. Ale o co chodzi z tytułem („Molekularna Ohyda”)?

Ten zwrot przyszedł mi do głowy, kiedy zastanawiałem się nad jakąś myślą przewodnią dla całej płyty. Chciałem, by tytuł brzmiał intrygująco i groźnie. Myślę, że się udało.

A okładka? Tak ponurej, ale i w pewnym sensie zabawnej jeszcze nie miałeś.

Okładkę do płyty, tak jak i poprzednie, przygotował Mattias Noren. Kiedy już miałem gotową muzykę, tytuły utworów i wybrałem również tytuł płyty, poprosiłem go o coś naprawdę ponurego. Myślę, że Mattias dobrze się wywiązał ze swojego zadania. Okładka zwraca uwagę i jest w takim klimacie, jakiego sobie życzyłem.

Właśnie... Muzyka, jaką skomponowałeś na „Molecular Heinosity” też brzmi bardzo, bardzo ponuro.

Tak ją odebrałeś?

Tak.

OK, ale nie do końca tak miało być.
Zakładałem muzykę bardziej progresywną i heavy.
I moim zdaniem „Molecular Heinocity” taka właśnie jest...

Zgodzę się z tą progresywnością. Płyta w niektórych fragmentach brzmi jak twoje dokonania z Dream Theater...

Tu się całkowicie zgodzę, taki był cel.

I „Molecular...” jest przez to inna od twoich poprzednich płyt.
Efekt jest taki, jakbyś zatoczył koło...

Masz dużo racji. Tak jak wspomniałem, komponując utwory na tę płytę chciałem, by była jak najbardziej w stylu progresywnym. Chciałem w ten sposób osiągnąć taką muzykę i brzmienie, jakie były na mojej pierwszej solowej płycie – „Planet X”. Więc w sumie, siłą rzeczy, musiałem się też zbliżyć do tego, co nagrywałem z Dream Theater. Ale teraz dojrzałem, jestem starszy, rozwijam się, pracuję w studiu bardziej świadomie. Wydaje mi się, że dzięki temu również moja muzyka jest bogatsza i bardziej... zdecydowana. No i pamiętaj, że owszem, „Molecular...” jest progresywna, ale i bardziej heavy! Gdy myślałem wracam do okresu współpracy z Dream Theater, to chyba najbardziej lubię „Falling Into Infinity”. Uważam ten album za najlepszy, jaki z nimi nagrałem. I wciąż chętnie do niego wracam.

Mam wrażenie, że jesteś osobą bardzo pozytywnie nastawioną do życia i świata. Skąd więc tyle mroku w twojej muzyce?

Sam tego nie wiem i również często sam się nad tym faktem zastanawiam... Naprawdę, nie potrafię siebie ocenić. Teraz jestem bardzo szczęśliwy... Muzyka, twórczość „wychodzą” ze mnie spontanicznie. Zdaję sobie sprawę, że to, co robię może być odebrane jako mroczne, ponure, wręcz przygnębiające. Ale nie mnie to oceniać. Być może muzyka, jaką tworzymy, jest częścią naszego wnętrza? „Black Utopia” i „Blood Of The Snake” też nie były płytami zbyt radosnymi, prawda? Może to wszystko zależy od momentu życia, w jakim się akurat znajdujemy?

Ale twoja płyta „Inertia” (2001 r.) jest już zupełnie inna...

Tak, ta płyta wyszła mi rzeczywiście trochę „lżejsza”. I również nie wiem, czemu tak się stało. Ja po prostu muzykuję. Komponuję, nagrywam, gram koncerty.

A która z kompozycji na najnowszym krążku to twój faworyt?

„So Far Gone”! To jest najlepszy kawałek na płycie. Podkład, znów, jest bardzo ciężki i mroczny. A Zakk Wylde ze swym śpiewem wpasował się idealnie w klimat tego kawałka. Efekt jest bardzo heavy – wyszedł nam kawał dobrej muzyki.

Jak ci się współpracuje z Wyldem?

Zakk... to człowiek opowieść. Dużo by o nim można opowiadać. To autentyczny fenomen. Całkowity oryginał. Prawdziwy profesjonalista. Robi dokładnie to, co do niego należy, to, czego się od niego oczekuje. I nigdy nie rzuca słów na wiatr. Jest nieprawdopodobnym gitarzystą i po prostu świetnym muzykiem. Współpraca z nim to czysta przyjemność, bo on po prostu kocha to, co robi. Heavy metal to jego życie.

Śpiew Zakka przypominał i przypomina śpiew jego chlebodawcy – Ozzy’ego Osbourne’a.

Tak. I to bardzo. On doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Pamiętaj, że Zakk nagrywał i występował z Ozzym przez ostatnie 20 lat. To naturalne, że sporo od niego przechwycił. Zakk jest najbardziej szalonym facetem, jakiego znam. On w ogóle nie liczy się z opinią innych. Muzyka to jego świat. Robi co mu przyjdzie do głowy, a czasem miewa naprawdę szalone pomysły.

Ostatnio współpracowałeś nie tylko z Wyldem.
Zagrałeś też na najnowszej płycie Yngwiego Malmsteena – „Perpetual Flame”.

Taaaak. Yngwie to też niezłe „ziółko”. Dla niego to już po prostu nie istnieją żadne granice. Gra od tak dawna, a mimo to wciąż idzie do przodu. I zainspirował już tylu innych muzyków i gitarzystów! Znamy się chyba od dziesięciu lat, a on wciąż potrafi mnie zaskoczyć. Praca z nim to jednak coś innego niż z Zakkiem. Ale i tak bardzo, ale to bardzo cenię Yngwiego. I bardzo bym chciał nadal z nim nagrywać. To jest człowiek, muzyk, gitarzysta, od którego wiele można się nauczyć.

Kiedy byłem dużo młodszy i dopiero zaczynałem grać na keyboardach, fascynowała mnie gra Yngwiego i jego niebywały temperament. Jego styl był dla mnie w jakimś sensie inspiracją i wiele mi dał. Oczywiście nie zamykałem się tylko na Malmsteenie. Lubilem i nadal lubię słuchać Randy’ego Rhoadsa, Jeffa Becka czy Gary’ego Moore’a. Ale czasem, kiedy słucham własnych solówek, to przylapuję się na tym, że w niektórych fragmentach przejąłem do swojej gry jakiś niuans od Yngwiego.

A czy któryś ze słynnych klawiszowców jest dla ciebie wciąż niezaprzeczalnym wzorem?

Myślę, że nadal Jan Hammer. To już się chyba nie zmieni...
On był dla mnie kimś, kogo chciałem naśladować. Taki „idol”, muzyk grający na keyboardach, obdarzony niezwykłą wyobraźnią i muzyczną wiedzą.
Wciąż cenię jego styl gry, nie ukrywam, że jest dla mnie bardzo ważną postacią. Jego brzmienie również miało duży wpływ na mnie, na mój styl.
I pewnie stąd moje zamiłowanie do takiego heavymetalowego i progresywnego grania.
Przyznaję, że do muzyki klasycznej sięgam rzadziej niż do rockowej.
Przerobiłem wszystko, czego wymagano ode mnie w szkołach i to mi w zupełności wystarczy. Teraz raczej szukam inspiracji dosłownie wszędzie.

Derek, a gdyby zadzwoniła do ciebie Madonna albo
Justin Timberlake, zgodziłbyś się na współpracę z nimi?

(śmiech) A skąd ci to przyszło do głowy?! Ale – czemu nie?! Taka muzyka nie jest trudna do zagrania. W życiu trzeba próbować różnych rzeczy...
Byłoby taka propozycja miała jakiś sens.

Wiem, że bardzo interesujesz się swoją ojczyzną – Armenią.

Tak, staram się jak najwięcej czytać o Armenii, ale wreszcie w ubiegłym roku, latem udało mi się Armenię odwiedzić. Jak dla mnie – wspaniałe doświadczenie!
I to naprawdę była moja pierwsza tam wyprawa. Poznałem wielu świetnych ludzi, dużo się od nich dowiedziałem. To przecież są moje korzenie.
Fascynujące było dla mnie poznawanie armeńskiej kultury tam, na miejscu.
To wszystko było dla mnie bardzo, bardzo inspirujące i emocjonujące.
Myślę, że wciąż pozostaję pod wrażeniem.

Nigdy nie grałeś w Polsce...

Też żałuję. Wiem wiele o waszym kraju, w końcu chciałbym Polskę odwiedzić.
Zagramy dla Polskich fanów tak szybko, jak to będzie możliwe...
Wypatrujcie nas i pamiętajcie, że nam też zależy, by dla was zagrać.
To będzie dla nas wielka przyjemność i zaszczyt.

Fragmenty wywiadu ukazały się w magazynie „Metal Hammer”, a Derek Sherinian wystąpił wreszcie w Polsce w 2009 r. w ramach XVIII Międzynarodowego Festiwalu Perkusyjnego.



fot. Marcin Nowak

Kup książkę